Rocznik XI. Kraków, 1-go września 1903. Nr. 11.

NOWY DZWONEK

wychodzi **dwa razy** w miesiącu, to jest: dnia **1-go** i **15-go.**

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Ks. Marceli Dziurzyński.**

„Nowy Dzwonek“ kosztuje w prenumeracie:

w Austryi na rok **5** koron (**2** złr. **50** ct.), na pół roku **2** korony i **50** hal. (**1** złr. **25** ct.); **do Niemiec** na rok **5** marek, **do Ameryki** na rok **2** dolary.

Adres do przesyłania prenumeraty:

Redakcya „Nowego Dzwonka“ w Krakowie, ul. Zielona L. 20.

List z Brazylii.

Od jednego z naszych czytelników, który wywędrował do Brazylii, otrzymaliśmy dnia 12 sierpnia bieżącego roku list następującej treści:

Kolonia Taquaral (parafia św. Mateusz),
dnia 7 lipca 1903 r.

Wielebny Księże Redaktorze!

Wstępując w progi Wasze, Wielebny Księże Redaktorze pisemka *Nowego Dzwonka,* a za pośrednictwem tegoż to *Dzwonka* i w progi ziomków, braci rodaków, odzywam się w tem to pisemku, bo jako głos *Dzwonka* daleko bywa słyszany, bo chyba w każdym zakątku naszej Ojczyzny przebija się ten głos do każdej niemal chaty — tak i ja odzywam się w tym *Dzwonku* chociaż z za morza, lecz głos brzmi czysto polski, a witam Was po raz pierwszy w tym *Dzwonku* słowy chrześcijańskiemi: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“ i zasyłam serdeczne życzenia pokoju, zgody, miłości braterskiej i dobrego powodzenia!

Na życzenie Wielebnego Księdza Redaktora, abym doniósł, jak nam się powodzi za morzem, jakie tu mamy obyczaje, jakie urodzaje i t. d., dziś postanowiłem nieco napisać o naszych tu stronach.

Jak wielu a wielu innych, i ja zawędrowałem tu, goniąc za „kawałkiem chleba“, o który trudno nam było w swoich stronach, a myśleliśmy, że tu z łatwością go zdobędziemy. Prawda, że nie samym tylko chlebem żyje człowiek, i bardzo źle jest, jeżeli mając kawałek chleba, więcej o niczem nie myśli; aby jednak myśleć o jakiejś działalności szerszej, wyższej, trzeba koniecznie i ten kawałek chleba zdobyć. Więc i myśmy za nim gonili. No, i jakże się nam poszczęściło? Czy ów pożądany kawałek chleba znalazł się w obcej i dzikiej ziemi? A cóż o tem mówią sami wychodźcy? Wychodźcy narzekają na biedę, która szczególniej w przeszłym i w tym roku każdego przygniotła.

Sierocym jesteśmy narodem, bo wspólna matka nasza Polska w niewoli. Kajdany wpiły się jej w ciało żywe, i matce-żywicielce zabrakło pokarmu dla własnych dzieci. Odeszliśmy od niej smutni w świat daleki. Pożegnaliśmy progi rodzinne i omszałe krzyże na grobach swych ojców, i powlekliśmy się, niby bezdomnych tułaczów szeregi, szukać wśród obcych tego, czego wśród swoich zdawało nam się zabrakło: chleba i wolności.

A matka-żywicielka Polska nie mogła nas zatrzymać w tym żałobnym pochodzie i pod płaszcz swój przytulić, i do łona swego przytuliwszy, powiedzieć: „zostańcie“! Nie mogła. I tylko ten, kto patrzeć i słuchać umie sercem, mógł, żegnając ją na wieki, słyszeć niby serdeczny szept pożegnania, ostatnie słowo tej świętej męczennicy: „pamiętajcie o mnie! pamiętajcie o mnie“!

Tak szumiały nam na pożegnanie rodzinne lasy i bory, tak szumiał potok, co lustrzaną wstęgą wił się pośród zielonych łąk i gajów, tak szczytami swymi mówiły nam wieże i mury miast ojczystych, gdy z okien wagonu po raz ostatni wzrok ślizgał się po nich — tak prosiła ostatnia piędź swojskiej ziemi, co się jej dotknęła nasza stopa sieroca...

A słowa te każdemu, kto je słyszeć był zdolny, tak głęboko wpiły się w duszę, że nie może zapomnieć już o nich, choćby go sto mórz, tysiące gór i stepów dzieliły od Matki-Polski. I w drogiej spuściźnie przekaże dzieciom i uczyć ich będzie: „Pamiętajcie o Polsce! Pamiętajcie, że Polakami i Polkami jesteście“!

Lecz czy z nas te przykazania wszyscy na dnie serc

naszych nosimy? To się okaże w dalszych mych korespondencyach do Redakcyi *Nowego Dzwonka,* a dziś inny mam cel na myśli, to jest napisać o położeniu naszem gospodarskiem w Brazylii.

Lecz jeszcze nieco pociągnę dalej. Żali pamięć o Ojczyźnie i praca dla sprawy społecznej nie mają być świętym obowiązkiem dla nas wszystkich, cośmy złych losów koleją na obcy ląd wyrzuceni, rzuceni na tę obcą ziemię brazylijską, w te dzikie i wiekowe lasy, gdzie ludzie zebrani prawie z każdego zakątka naszej kochanej Polski?

Szczęśliwą czuje się obecnie ta okolica, w której osiadło przeszło do dwóchset rodzin, bo ludzie w tej liczbie mogą mieć kościół i utrzymywać księdza stale, mogą mieć szkołę swą własną i nauczyciela, mogą się ludzie wiązać w towarzystwa i t. d. To też naturalnie w której okolicy naszych braci osiadło do dwóchset rodzin, tam zaraz założona została parafia i wspólnie zaraz wzięto się do postawienia kościoła i plebanii; a gdy już miało się kościół jaki taki, więc proszono Jego Ekscellencyę księdza Biskupa swej dyecezyi o przysłanie do tej parafii kapłana Polaka.

W takiej to liczbie można już utrzymać stale księdza, t. j. dawać mu pensyę, tak też i jest wszędzie w naszej okolicy, bo tu rząd nie ma nic do nas, t. j. aby pomógł nam utrzymać księdza. Tylko my sami musimy się starać o to, by pensyę księdzu stale składać, by utrzymać księdza. A gdyby w której okolicy nie mogli nasi rodacy własnemi siłami utrzymać księdza, to rząd tutejszy nie wejrzy w to i nie daje najmniejszej pomocy.

Ale iluż to naszych braci, osiadłych tu w Brazyli, łaknie słowa Bożego, bo od czasu swego tu przybycia, ani nawet jeszcze nie mieli sposobności, aby swego kapłana rodaka widzieć, a to z powodu osiedlenia się tylko kilku rodzin w okropnie odległej przestrzeni od takich założonych polskich parafii. To też z jednej okolicy, gdzie osiedliło się tylko do czterdziestu rodzin, pisało kilku naszych braci do *Gazety Polskiej* w Brazylii i prosiło redaktora tejże gazety, ażeby im dał jakąś radę i ażeby im wskazał, gdzieby oni mogli się wyspowiadać u polskiego, katolickiego księdza. Bo — pisali dalej — iż są już obecnie t r z y n a s t y r o k w Brazylii, a jeszcze nie widzieli nawet polskiego księdza.

I czyż może tu żyć w takiej okolicy katolik? Czyż jest nadzieja wychowania dzieci w takich stronach po katolicku?

O! po trzykroć biada tu naszym rodakom pod względem wychowania dzieci! Bo ileż to naszych braci, rozrzuconych w tych dzikich lasach i kniejach, zdziczało już, bo zapomniało o obowiązkach katolicko-polskich, a przywykli jakoś do obyczajów ludu brazylijskiego, który to lud często przeżegnać się nie umie, a chociaż są także katolikami, to mimo tego nigdy nie mówią pacierza, do spowiedzi nie chodzą, do kościoła nigdy nie uczęszczają, dnia niedzielnego lub świątecznego nie obchodzą. Ciemny to lud po prostu mówiąc, jak „tabaka w rogu“.

Tak i z naszych braci wielu ten obyczaj między siebie zaprowadziło, a są to tacy, co osiedlili się po kilka rodzin między ten lud brazylijski i przywykli zupełnie do jego obyczajów i nie starają się, aby tę miejscowość porzucić a osiedlić się w koloniach polskich, gdzie i ksiądz polski jest i szkoły są polskie, i aby utrzymać się w tej świętej wierze katolickiej i wpoić w serca dziatek tę świętą wiarę i przekazać im, że są Polakami i Polkami i zachować swój język ojczysty.

Niestety! ileż to już znajduje się z naszej młodzieży co nawet zapierają się języka ojczystego, nie chcą mówić swym ojczystym językiem, tylko polubili sobie język portugalski, jakim mówią Brazylianie.

*
* *

W samym początku, gdy osiedliliśmy się na gruntach tutejszych, pomierzonych na działy, czyli z cudzoziemska loty (lot ma mniej więcej około 20 hektarów) samego grubego lasu, to też w samym początku niejeden miał stracha, że nie da rady temu lasowi, a do tego sam las wiekowy, ale gdy się wzięto szczerze do ścinania, to i ubywało drzewa, a gdy już sporo było wyciętego boru, czekano aż wyschnie, a gdy wyschło, poddano ogień, i wtenczas wszystko drobniejsze się spaliło, i już można było wszędzie chodzić, gdzie ogień przeszedł.

Szczególnie wypala się zawsze lasy w listopadzie, bo jest wtedy u nas lato, a do tego w listopadzie sadzi się u nas kukurudzę i fasolę, a to w taki sposób. Gdy już

bór jest spalony, bierze się kołek, zaostrza na jednym końcu, robi się nim dziury i wpuszcza się tam ziarna kukurudzy, i znowu w osobnem miejscu sadzi się w taki sposób fasolę, bo kukurudza i fasola nie wymagają ziemi kopanej lub uprawnej. Jedynie żyto zakopuje się motykami, lecz bardzo płytko, bo gdyby głębiej przykopać, to nie oddaje obfitego plonu.

Także kartofle potrzebują ziemi kopalnej tak. jak i w Europie. Bataty słodkie, które w Europie nie są wcale znane, wyrastają w ziemi uprawnej bardzo duże, a są bardzo pożyteczne dla świń, a nawet dla ludzi. Są jeszcze ajpy, które rosną niby okropne korzenie od drzewa, wymagają ziemi uprawnej, lecz te ajpy nie lubią ziemi mocnej, tylko słabej, lekkiej, a są bardzo pożyteczne do wszystkiego.

Wobec tego z początku każdy myślał, że to będzie dobrze tu w Brazylii dla rolników, a tymczasem okazało się, że nie. A dlaczego? odpowiadam dlatego, że niema komu sprzedać zboża, bo jesteśmy oddaleni od dużych miast o kilkadziesiąt mil, więc nie można tego dostawić do miasta, bo niema dróg wozowych, tylko jak od nas płynie duża rzeka, po której płyną parowce, a z dużych miast dochodzi do tej rzeki kolej, to można dać na statek zboże a później na kolej i powieść do miasta. Ale opłacić transport od zboża na statku i kolei, to w mieście nie weźmie się nawet tyle za zboże, ile transport kosztował, a więc sprzedać nie można, bo robota jest przytem ciężka, a za zboże prawie nic się nie dostanie.

A w pobliskości w maluśkich miasteczkach, w których zaledwie jest parę karczem, też nikt nie sprzeda zboża, by się robota opłacała, bo rolników jest dużo, każdy chce trochę produktów zbyć, a tu niema komu, a przecież rolnikowi pieniądze są potrzebne, bo trzeba kupić soli, odzież, sprzęty, narzędzia i t. d.

Zaś zapasu ze zboża z roku na rok żaden tu rolnik nie zrobi, bo do roku żadne tu zboże zdrowe nie doleży, gdyż robaki stoczą każde zboże doszczętnie, zostawiając rolnikowi samą tylko łupinę. Z tego powodu bieda najostateczniejsza dla każdego, ponieważ każdego roku trzeba siać i sadzić dużo, bo gdyby kto zasiał mało, to nawetby dla siebie nie starczyło z powodu tego robactwa, co tak niszczy zboże.

Zwykle te robaki zalęgają się w ziarnie fasoli i kukurudzy, są one z początku białe, siedzą w ziarnie, aż mąkę doszczętnie wypiją, a później, gdy dojrzeją, stają się bure i dopiero przegryzają łupinę ziarna i wyłażą.

Drugą razą napiszę obszerniej o tem robactwie, a do tego o tym kraju jest dużo do opisania bardzo ciekawych rzeczy, a dziś już kończę na tem.

Józef Nowak
czytelnik *Nowego Dzwonka.*

Jak sobie radzą.

Nasi włościanie, czy to polscy, czy ruscy, zazwyczaj lubią tylko narzekać na biedę i pomstować na innych, a o tem, jakby się z biedy wydobyć, ani myślą.

Tak robi przeważna część włościan, i ogląda się przytem na przeróżnych agitatorów, sądząc, że ci wydobędą go z biedy, a ci plotą ludowi tylko koszałki opałki, wygadują na wszystkich i obiecują włościanom gruszki na wierzbie.

Jest to bardzo smutne, bo w ten sposób i na tej drodze nigdy nasz wieśniak do lepszej doli nie dojdzie, dlatego serce się raduje, gdy się słyszy, że tu i ówdzie włościanie sami poczynają o sobie radzić i biorą się sami do różnych przemysłów i spółek, aby ulżyć swej doli.

A oto kilka pouczających przykładów: Od kilku już lat istnieje we wsi Zubrzy koło Lwowa, spółka włościan miejscowych, która dzierżawi od miasta Lwowa folwark w tejże wsi i ciągnie z tego znaczne zyski.

Obecnie znowu taka spółka zawiązała się we wsi Skniłówku także koło Lwowa, i również wydzierżawiła od magistratu lwowskiego tamże folwark obejmujący 61 morgów gruntu, płacąc za to 1800 koron dzierżawy.

Że przy dobrej gospodarce sowicie się im tą dzierżawa opłaci i zyski przyniesie — to rzecz pewna. Byłoby więc do życzenia, aby wszędzie gdzie folwarki są do wydzierżawienia, łączyli się zamożniejsi gospodarze w takie spółki, jak w Zubrzy i w Skniłówku, a wcale dobrze na

tem wyjdą. Gdzie zaś niema ziemi do wydzierżawienia, lub pieniędzy na to, tam koniecznie trzeba jaki przemysł rozpocząć.

Jest za Krakowem wieś Morawica, słynąca od niedawna z wyrobów kapeluszy słomianych, które w czasie wojny Anglików z Boerami w Afryce, tysiącami tamże wywożono.

Teraz zaś kapelusze te sprzedawane bywają w Krakowie do Bazaru krajowego i po innych sąsiednich miastach, bo są pięknie wyrabiane i tanie, więc kupują je chętnie i panowie i mieszczanie i robotnicy miejscy.

W Morawicy trudnią się wyrabianiem kapeluszy wszyscy mieszkańcy począwszy od młodego dziecka. Sprytny i pilny robotnik zrobi pięć kapeluszy dziennie, które sprzedaje hurtownikom po 20 centów, czyli, że zarabia dziennie 1 złr.

Tygodniowo wyrabia Morawica 3000 takich kapeluszy, za co dostaje 600 złr., czyli 1200 koron. Tyle pieniędzy przychodzi do wsi co tydzień, to też gdy z innych okolicznych wsi ludzie idą na lato do roboty na Saksy, z Morawicy nikt nie idzie i wszystkim się dobrze powodzi.

Miliony koron idą rocznie z naszego kraju za granicę za różne przedmioty, które łatwo można w kraju wyrabiać. Potrzeba tylko, aby w każdej wsi znalazł się ktoś, ktoby wyuczył się jakiegoś przemysłu w krajowych lub zagranicznych szkołach, a potem przemysł ten w swej wsi rozwinął.

Czasem może zrobić to sama wieś i na swój koszt wysłać sprytnego jakiego i młodego wieśniaka do szkoły, a czasem trzeba, aby też pomogli księża i dwory, lub Wydział powiatowy.

W pierwszym jednak rzędzie powinni o tem pomyśleć sami włościanie, bo wtedy prędzej i chętniej znajdą radę i pomoc czy to we dworze, czy w plebanii, czy w Wydziale powiatowym.

Nie czekajcie, aż wam pieczone gołąbki same wpadną do gęby — bo to się nigdy nie stanie — tylko mniej o polityce rozprawiajcie, a więcej myślcie, jakby biedzie zaradzić, to się prędzej z tej biedy wydobędziecie.

Z życia wsi duńskiej.

Dwa kraje Europy — Norwegię i Danię — często nazywają królestwami włościańskiemi. Rzeczywiście, tu i tam, w całem życiu publicznem, we wszystkich urządzeniach społecznych czuć, że główną część ludności tych krajów stanowią włościanie, a ich praca, ich potrzeby są tą osią, około której życie całego społeczeństwa się obraca.

Przejeżdżając przez Danię, odrazu widać, że jesteś w kraju przeważnie drobnych rolników. Pola niewielkie, ale wszędzie starannie i umiejętnie uprawione, pośród nich drogi wiejskie, równe, twarde, doskonale utrzymane. A na tle zielonych pól na wszystkie strony widać gęsto rozsiane wioski, z białymi, murowanymi domkami i wysokiemi dzwonnicami parafialnych kościołów.

Parafia duńska stanowi drobną, niezależną w życiu wewnętrznem gminę. Na czele parafii stoi wybierany i utrzymywany przez mieszkańców pastor; — Duńczycy bowiem prawie wszyscy są wyznania protestanckiego. Katolików jest zaledwie sześć tysięcy — i to rozsianych po całym kraju: tylko latem, gdy zjadą na robotę wychodźcy polscy, ilość katolików wzrasta o kilka tysięcy głów.

Przełożony parafii jest najpierwszą i najpoważniejszą osobą w gminie. On kieruje wszelkiemi sprawami publicznemi; on jest przyjacielem, doradzcą, obrońcą i opiekunem moralnym swoich parafian. Posiadając zazwyczaj maleńkie, ale wybornie prowadzone gospodarstwo, sad i ogród, — daje on zarazem przykład wzorowego gospodarowania.

Drugą z kolei poważną i szanowaną osobą we wsi duńskiej jest sędzia gminny, również wybieralny, jak wszyscy wogóle urzędnicy w gminie. Oczywiście — sędzią jest zawsze człowiek wykształcony, prawnik, który skończył uniwersytet i osiadł na wsi po to właśnie, żeby służyć swoim współobywatelom. Cieszy on się powszechnem zaufaniem gminy, w której sprawuje sąd według sumienia. Zawsze jednak nad nim czuwają gminiacy i w razie wypadkowej pomyłki, w razie wydania niesłusznego wyroku, wyjaśniają mu swoje zdanie szczerze —

a sędzia trzymając się zasady, że „głos ludu jest głosem Boga“, chętnie cofa się i wyrok zmienia.

Trzecim członkiem tego kółka ludzi wykształconych, którzy nauką swoją służą wsi duńskiej, jest doktor wiejski, także przez gminę powołany.

Niełatwem jest zadanie takiego doktora. Musi on znać się na wszelkich chorobach i umieć je leczyć; musi być jednocześnie lekarzem chorób wewnętrznych, chirurgiem, dentystą, akuszerem itd. Pracy ma moc, bo w Danii znachorów niema zupełnie i zresztą nie znajdzie tam tak ciemnego człowieka, któryby chciał u znachora szukać porady.

Taki lekarz wiejski, prócz ciągłych objazdów, ma jeszcze nadzór nad apteką gminną, gminnym szpitalem i zarządza zdrowotnością publiczną. Do pomocy ma doktor zawsze paru felczerów, którzy nie zadzierając nosa i nie udając doktorów, spełniają z wielkiem pożytkiem dla mieszkańców swoje skromne, ale poważne, obowiązki.

Duńczycy umią cenić i szanować pracę doktorów. To też często się zdarza, że lekarz jest człowiekiem ukochanym w swojej okolicy. Dzień urodzin lub inne uroczystości domowe u doktora stają się świętem dla całej gminy. Mieszkanie jego ozdabiają wieńcami z kwiatów, wszyscy składają mu serdeczne życzenia, a wieczorem chór wiejski i kapela miejscowa muszą śpiewami i muzyką uczcić swego ulubieńca. Ale też prawda, że żaden lekarz duński nie uważa siebie za jaśnie pana i nie obchodzi się ze swoimi sąsiadami ze wsi, tak jakby im łaskę robił. Jest w Danii jeden wielki przymiot powszechny — to poszanowanie w każdym człowieku jego godności ludzkiej. Nikomu tam do głowy nie przychodzi poniewierać drugim człowiekiem dlatego, że jest on mniej oświeconym, albo uboższym.

Kierownik szkoły, nauczyciel wiejski, jest czwartym wykształconym człowiekiem, jakiego w każdej wsi spotykamy. Trzymając się razem z pastorem, doktorem i sędzią i najlepszymi ludźmi w swojej gminie, stanowiącymi „radę gminną“, to zwarte kółko prawdziwie oświeconych pracowników czuwa nad życiem swoich współobywateli, obraduje nad sprawami bieżącemi, obmyśla nowe zmiany, zaprowadza wszelkie ulepszenia. A wszystkich tych ludzi,

pracujących razem, w zgodzie i miłości, ożywia jedna myśl: podniesienia moralności, oświaty i dobrobytu kraju. To zupełne zespolenie pracy wykształconych zawodowców z pracą ludu, stanowi rzeczywistą siłę maleńkiej Danii.

Ale zajdźmy jeszcze do szkoły duńskiej. Zdaleka już rzuca się w oczy duży, piętrowy dom murowany, otoczony sadem owocowym i ogrodem z pólkami doświadczalnemi. Dół zajmują trzy jasne, wysokie izby szkolne i czwarta izba gimnastyczna z przyrządami do ćwiczeń cielesnych, o ile niepogoda nie pozwala wykonywać ich na dworze. Na oknach doniczki z kwiatami.

Na ścianach karty geograficzne, obrazy z dziejów Danii, zbiory owadów i roślin zasuszonych, portrety sławnych Duńczyków, gipsowe ozdoby i figury do nauki rysunków. W szafie pod ścianą, przyrządy i modele fizyczne. Dalej księgozbiór z dzieł najlepszych pisarzów duńskich. Program szkoły jest szeroki, dostosowany jednak głównie do wykształcenia rozumnego rolnika i dobrego obywatela. Prócz religii, nauki języka ojczystego, pisania i rachunków, śpiewu i muzyki, uczą tam jeszcze geografii, przyrody, nauki prawa cywilnego i kryminalnego, obowiązującego w Danii, zaznajamiają z życiem publicznem Danii, z jej społecznemi urządzeniami, ich duchem i celem. Toteż Duńczyk, kończący szkołę wiejską, jest rzeczywiście młodzieńcem niewysoko, ale gruntownie wykształconym, mogącym śmiało stanąć w rzędzie rozumnych, znających swoje prawa i obowiązki obywateli kraju.

Bo też i obowiązki czekają go niemałe. Jeśli jest najstarszym synem, musi objąć po ojcu gospodarstwo, które prowadzić będzie wspólnie z młodszym bratem, starając się w niczem majątku nie uszczuplić. W Danii jest taki zwyczaj, że majątek dostaje syn najstarszy, reszta musi iść między ludzi szukać sobie losu.

Jestto może zwyczaj niedość sprawiedliwy — ale to ratuje Danię od tego strasznego rozdrabiania osad wiejskich, jakie widzimy u nas i w wielu innych krajach. Dalej młody Duńczyk zostaje wyborcą w swoim okręgu, a w 25-tym roku życia sam może być wybrany na posła do sejmu. Musi tedy znać urządzenie polityczne swego kraju, rozumieć jego potrzeby; musi umieć przemawiać w sejmie, bronić wniosków, które uważa za pożyteczne,

a zwalczać szkodliwe. Inaczej bowiem byłby posłem malowanym, a dla ludzi malowanych, dla niedołęgów — na żadnem polu w Danii miejsca niema.

W LESIE.

(OPOWIADANIE Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA.)

Chata była jak zwyczajnie niska, pod szarym słomianym dachem.

Rój powiędłych słoneczników zazierał jej do okien wonna melisa w grządkach prostych sadzona, wabiła pracowite pszczoły, których kilkanaście pełnych uli stało na ławie pod płotem; parę drzew owocowych, mała stodółka z obórką, studnia ze skrzypiącym żórawiem, stanowiły całe zewnętrzne jej gospodarstwo.

A dalej las — ciemny, długi, sosnowy. To chata borowego Łuki.

Siedzi on sobie na przyzbie, siwy, w granatowej sukmanie, a że słychać zdala dzwony wieczorne na Anioł Pański, więc szepce „Zdrowaś Maryo“.

Wokoło cisza. Czasem tylko słychać stuk krzykliwego dzięcioła lub donośny świst kosa, albo echem doleci szarych wron krakanie i znowu spokój zapada.

— Dziadusiu! Słonko na wiatr zachodzi — zawołał głos dźwięczny za chatą i z za węgła ukazała się, cała w różowych promieniach owego zachodzącego słońca, młoda smagła dziewczyna.

Na ramionach niosła szońdy z wiadrami, a szła lekko i prędko, trzymając w dłoniach spadające ku ziemi łańcuchy.

W spodnicy w czarne i pąsowe pasy, w białej jak śnieg koszuli, na której się zwieszały rzędami różnobarwne korale, z główką wysoko wzniesioną, a owitą w chustkę wzorzystą, śliczny przedstawiała obrazek.

Sploty ciemnych warkoczy, spięte pod strzępiatymi rogami zawoju, opadały jej na kryzę, a ciemniejsze od tych splotów oczy patrzały na Boży świat poczciwie i wesoło z pod brwi czarnych jak skrzydła jaskółcze. Uśmie-

chnęła się słodko do dziadka, przechodząc do sieni i znowu go zagadnęła:

— A czy deszczu nie dostaniemy? Rosy dziś na łączce nie było, a gąski okrutnie nad wodą krzyczały...

— Może co i popada, odparł stary z progu się podnosząc. Dobrze, Hanuś, że już siano w stodole, boby zamokło.

Dziewczyna tymczasem weszła do izby, postawiła wiadra na ziemi i szybko rozniecila ogień. Robota szła jej od ręki. Z półek, czysto wymytych, wybrała dwa gliniane garnki. Nalała w jeden wody na zacierkę, ostrugała pantówki*), wsypała w drugi, zalała wodą, przykryła pokrywą i na kominie postawiła.

Ogień z suchego łuczywa z trzaskiem palił się jasno, oświecając izbę i roztwarte dwie komory. W izbie stała po lewej stronie czarna szafa z wprawionemi szybami, a w niej poustawiane miski, garnuszki, łyżki. Na górnej półce leżało kropidło z białej wiciny i modra butelka z wodą z Częstochowy. Na środku stał stół dębowy, na prawo było łóżko proste, drewniane. Nad niem obraz Świętej Trójcy, pod obrazem świeca żółta, woskowa, zapalana raz do roku na dzień Najświętszej Panny Gromnicznej.

Ludzie mówią, że komu się świeca pali czysto, bez dymu, ten i zdrowo i długo pożyje na świecie, ale komu jej płomyk pomroczno się świeci, a co nie daj Boże, w końcu i zgaśnie, temu i życie nie pociągnie najdłużej i jak on płomyk tlić się zaprzestanie. Na drugim gwoździu wisi palma święcona w niedzielę przedwielkanocną, a z nią duży pęk wianków uzbieranych w oktawie Bożego Ciała. Na oberwanie, na różę i inne choroby dobre to i pomocne owe święcone zioła, a nieraz bywa, że i nietylko ludziom, ale i inwentarzowi z nich nakadzenie wielką ulgę przyniesie.

Hanka więc zbiera rok rocznie macierzankę, bylicę, kwiat różany, rozchodnik, tysiącznik, lipinę, boże drzewko; kwiat białej lilii skuteczny na długotrwające rany, kocanki — i na procesyą niesie. Ziół tych ma jeszcze całe pęki, święcone w dzień Matki Boskiej Zielnej. Tu jest

---

*) Na Kujawach lud tak kartofle nazywa.

i krzyżowe ziele i mikołajek i czarnogłóg i śmiennik i marchew i owies i żyto — wszystko ku innej potrzebie. W komorze wiszą u pułapu snopy bzu pachnącego, a na desce rozłożony żółty kwiat lipiny i szara mięta i biały rumianek i ciemne liście piołunu. W garnku zaś stoi miód biały, nie na ogniu, ale wolno na słońcu topiony. I różne tam stoją garnuszki, a woreczki płócienne na gwoździach wiszą — wszystko zaś składnie, porządnie jak się przynależy.

Oj zna się Hanka na ziołach i lekach i wie, jak i kiedy ich użyć, a lepiej się jeszcze od niej na nich zna stary Łuka. Całe życie bo i w lesie przepędził wśród traw i ziół niezliczonych, a że Bóg dobry nic nie stworzył na próżno, to i zielu nie odmówił każdemu jego właściwości. Więc jedne są co trują, jedne znów co leczą, zwyczajnie jak wszystko na świecie choćby naprzykład tak jak i ludzie są tacy i tacy.

Do Łuki więc nieraz przychodzili chorzy po radę, a często pomógł im temi ziołami swojemi, jak najlepszy doktor. W komorze ciemno, nie ma w niej żadnego okienka, boby niem ciepło letnie wchodziło, a tak obrócona ścianą na północ, utrzymuje zawsze chłód przyjemny. Zresztą drzwi z niej prawie zawsze do izby otwarte, bo stare i ciężkie (z dawnego dworskiego śpichrza), w żelazo okute, opuściły się już na zawiasach i trzeba mocno je w górę unieść, nim się z zatrzasku odsunąć dadzą.

Druga komora widna i wesoła. Z nad biało usłanego łóżeczka, dobrotliwie patrzy ciemna twarz Matki Boskiej Częstochowskiej. Pod ścianą stoi skrzynka bronzowa, w duże a barwne malowana kwiaty — tam to całe bogactwo Hanusi. Kręci się ona teraz po izbie i szykuje wieczerzę, pośpiewując sobie:

„O mój ptaszku kroguleczku,
Wysoko latasz“...

Nim stary Łuka oprzątnął inwentarz, już i wieczerza była gotową. Zasiedli do niej oboje, a dziaduś z upodobaniem spoglądał na swoją ukochaną Hanusię.

— Stach dziś pewnie już nie wróci — odezwał się do niej.

Dziewczyna przysłoniła oczy długiemi rzęsami i jadła dalej w milczeniu — wreszcie odezwała się:

— Do miasta przecież daleko, dziadusiu...

— To też mówię, że może jutro rankiem. — Co?

— Albo ja wiem...

Stach, to parobek, ubogi sierota; Łuka go od dziecka małego wychował. A potem jak chłopak dorósł i był mu jakby synem, widział, jak się pokochało tych dwoje. Po Adwencie, da Bóg, pobiorą się.

Zamyśliła się dziewczyna wpatrzywszy się w okno, gdzie stała doniczka z drobnym rozmarynem. Jak Matka Boska da, to niedługo drużki upną go jej na głowie ten pachnący rozmaryn i gałązki zielonej myrty, a zaśpiewają potem o chmielu — niedługo.

Wstała. Zmrok już też dobrze był dokoła. Weszła do swojej komórki, potem stanęła znów we drzwiach. Tęskno jej jakoś było i smutno. Tak jakoś bardzo smutno i niespokojnie.

Nagle drzwi od sieni skrzypnęły.

— To Stach!...

Nieznane jednak kroki dały się słyszeć: jakieś powolne, niepewne a ciężkie bardzo.

Łuka poszedł drzwi otworzyć od izby.

— Niech będzie pochwalony!

— Kto tam?...

— To my, biedni wędrowni! Kobieta mi zaniemogła w drodze, a ciężko nam iść dalej.

I wszedł do chaty jakiś człowiek obdarty, niski, czarno zarosły, z kobietą równie jak on licho odzianą, a trzęsącą się jak we febrze. Głowę miała omotaną brudną chustką, tak, że jej oczu widzieć nie było można. Zresztą chorą być mocno musiała, bo jęczała skarżąc się głośno:

— O la Boga!... O ciężka dola moja!

Hanka jej wejść pomogła i chciała, aby na ławce usiadła, ale ona drżąc cała wsunęła się na brzeg komina, przykucnąwszy przed niedopalonem zarzewiem, a coraz to więcej narzekając, prosiła, aby jej kto poszedł po księdza, bo czuje, że jej ostatnia godzina się zbliża i do rana nie dożyje.

Noc coraz to więcej zapadała, a księżyc wcale nie

świecił, bo chmurzyć się mocno zaczęło. Wiatr nawet zerwał się z zachodu i kilka kropel deszczu rzucił o szyby.

— Więc idźcie do dworu, mój przyjacielu, będzie to ztąd dobra mila; idźcie do dworu, to wam poślą konie na probostwo po księdza, a ja tu z Hanką o chorej radzić będziemy. Trzeba jej się najpierw napić co ciepłego.

— Nic, nic. Do rana nie dożyję...

— Ale gdzież ja do dworu trafię — odparł wędrowny. — Ani znam tej drogi, ani lasu, jesteśmy biedni bardzo i zdaleka. Już jeżeli taka łaska wasza i przyjęliście mnie do chaty, to może i poprowadzicie mnie ścieżkami do dworu. Patrzcie, ojcze, tak ciemno, we dwóch raźniej nam będzie...

— Cóż mam robić? Toć i pójdę z wami, bo trudno mieć zbawienie czyjejś duszy na sumieniu... No, zabierajcie się, a żywo. — A ty, Hanuś, pilnuj tej biednej kobiety... Bóg z tobą. Że też to Stacha nie ma!

Gdy był już wszakże za drzwiami, zawołał na wnuczkę, aby mu podała fuzyę nabitą, bo to w lesie zawsze bezpieczniej. Wędrowny dla pośpiechu sam odebrał ją z rąk Hanki, ale że ciemno było w sieni, długo do drzwi trafić nie mógł, bo Łuka jeszcze raz o fuzyę zawołał. Wreszcie wyszli.

Deszcz tymczasem coraz mocniej padać zaczął. Kobieta zaś zmęczona drogą i całodzienną podróżą — zasnęła.

Hanka nie chciała jej budzić. Musiała być widać bardzo strudzona biedaczka, kiedy tak siedząc w kątku komina zasnąć mogła. Może i jej lepiej będzie... Niech śpi.

Samotność ta jednak i przeraźliwy świst wiatru, dobywający się szparami drzwi i okien, nie wesoło wpłynął na dziewczynę. Uklękła i zaczęła mówić pacierz. Zmówiła go prawie cały i kończyła „Pod Twoją obronę“.

Wtem usłyszała, że chora się przebudziła i wstaje. Obejrzała się i zerwała na równe nogi.

Kobieta owa nie miała już ani chustki na głowie, ani plątającej się w łachmanach spodnicy. Szmaty te leżały na ziemi. Stał przed nią jakiś odrażający człowiek.

— Gdzie masz pieniądze?! — zawołał głosem ochrypłym, chwytając Hankę za rękę. — Pieniądze! które borowy miał jutro zanieść dziedzicowi za drzewo w sążniach sprzedane.

Teraz zrozumiała.

Jak błyskawica prawda jej myśl oświeciła.

Była nią jak odurzona, ale spokojna.

On tymczasem mówił szybko, niewyraźnie, trzymając w ręku ostry nóż.

— Jeżeli mi ich zaraz nie oddasz lub skłamiesz gdzie są — zabiję cię! patrz, zabiję tym nożem — w tej chwili...

— „Ale od wszelakich złych przygód racz nas zawsze wybawić o Pani nasza, Orędowniczko nasza“ — w duchu westchnęła blada jak płótno dziewczyna.

— Więc chodźcie za mną — odrzekła drżącym głosem — tu macie klucze — i sięgnęła do szuflady — tu, w tej skrzyni, w komorze.

Postąpiła kilka kroków w głąb komory. A gdy on chciwie z rąk jej klucz odbierał, szybkim ruchem cofnęła się i zatrzasnęła ciężkie, okute żelazem drzwi. Obróciła na dwa spusty rygiel i upadła przy łóżku, głośno już wołając:

— „Pośredniczko nasza! Pocieszycielko nasza, o Pani! o Pani! o Pani nasza!“

Głos jej piersi rozrywał i błagalnem wybuchał łkaniem.

Złoczyńca ów tymczasem usiłował drzwi wywalić. Lecz nie było to możebnem, zwiśnięte na zawiasach ani się ruszyć dały. Podłożył więc pod nie nóż, bo nie miał czego innego pod ręką. Przez maleńką szparę, którą nim zrobił, zabłysło mu światło z izby, lecz w tej chwili, gdy mocniej nim nacisnął, pękł pod samą rękojeść, a drzwi napowrót się zasunęły.

W komorze ciemno było zupełnie. Napróżno więc po omacku zaczął szukać jakiego narzędzia, któremby się mógł uwolnić. Ani okna, jakiemby uciec można, ani sposobu żadnego już przed nim nie było. Zaczął więc prosić i wołać, przyrzekając Hance, że jeśli mu drzwi otworzy, on nic jej złego nie zrobi, że do grobu jej wdzięcznym będzie, że sam jej pomoże odszukać tamtego człowieka.

— To ten żyd mnie namówił, on borowego do lasu wyprowadził. Tyś nie wiedziała, że naboje z fuzyi wyciągnął, aby się stary nie miał czem w lesie bronić. Tam on go pewno zabił!...

Prawie nieprzytomna Hanka to ostatnie zdanie usłyszała. Wszystko co mówił przedtem brzmiało jej w uszach równie jak szum tego wiatru, który huczał na dworze, ale

to okropne zdanie zbudziło ją i przyprowadziło do zdrowych zmysłów.

Nie było tu czasu płakać ani desperować. Zaczęła myśleć.

Przestała znów słuchać dalszych błagań i próśb zamkniętego w komorze włóczęgi — zastanowiła się chwilę, słuchając tylko głosu rozsądku, który jej w zupełności powrócił.

Mimo wiatru wyjącego tak przeraźliwie i miotającego gałęziami drzew z trzaskiem jedne o drugie, a głuszącego prawie krzyki z komory, jej się zdawało, że cicho zupełnie dokoła. W kominie zupełnie zagasło. Zimno było przenikliwe, wiejące chłodem nocnym przez na wpół otwarte okno. Jej jednak zdawało się, że jest w ogniu. Koszula na niej mokra była zupełnie, a pot kroplisty spływał jej do skroni.

Wstała. Zapaliła światło i wzięła drugą, pozostałą fuzyę, która stała w rogu izby i nabiła ją. Potem zaryglowała od sieni drzwi, zgasiła świecę, przysunęła ławę pod okno, wzięła fuzyę do ręki i czekała. Czekała długo... minuty były jej godzinami; serce biło jej w piersiach jak młotem. Cała jej istność była w tem wyczekiwaniu i w natężonym słuchu. Reszta dla niej nie istniała.

Aż wreszcie usłyszała to, na co czekała...

Ktoś szedł.

— A cóż u pioruna!

Dziadek nigdy nie klął, więc to nie on.

Teraz była zupełnie spokojna.

Zasunęła się na ramę okna.

W izbie było zupełnie ciemno.

— Do kroćset! — ozwał się znów przytłumiony głos. — Czyś z nią skończył?

— Tak! — przez okno odpowiedziała.

— To mi drzwi otwórz do licha. Tamten też już nie wstanie!...

Hanka oddech na chwilę zatamowała. Coś jej w duszy mówiło: „To są pańskie pieniądze! broń ich tak, jakby ich dziadek twój wiernie bronił“.

— O Matko Boska!...

Przymknęła oczy, zbliżyła się do okna i głuchym odparła głosem:

— Klucz się we drzwiach złamał, wejdź oknem...

Przycisnęła mocno fuzyę do twarzy i cofnęła się w głąb izby. W uszach jej tętniało. Tymczasem w oknie ukazały się: najpierw twarz a potem barki człowieka.

— Niech djabli wezmą tego starego, gdym go dusił, rękę mi skaleczył.

Błysnęło... Równocześnie z hukiem wystrzału padł z jękiem włóczęga na zbłoconą murawę.

Hanka bezprzytomna runęła na podłogę.

Dniało. Pierwszym, który ocucił biedną Hankę, był Stach, który nad rankiem z miasta z gospodarzami powrócił.

Ciężko ranionego zbrodniarza jako i jego wspólnika oddano w moc sprawiedliwości. Ale już żadna moc ludzka nie zdołała przywrócić życia staremu Łuce, którego znaleziono w lesie prawie bez ran żadnych, oprócz jednej maleńkiej na skroni, ale też już bez ducha.

Leżał cicho, blady, z pogodną twarzą, w złożonych dłoniach trzymając na piersiach zawieszony szkaplerz Najśw. Panny. Łożem mu była miękka pościel z rozchodników, wrzosów i macierzanki, a pieśnią ranne chóry ptaszęce.

Hanka długą chorobą przypłaciła noc tę straszliwą, a mimo że otaczała ją dziedziczka troskliwą opieką, wdzięczna za tyle poświęcenia, smutnych dni wiele upłynęło, zanim drużki jej przypięły na głowie wianek z myrty i drobnego rozmarynu, a potem zaśpiewały piosenkę o chmielu...

Gdzie pasieka może mieć powodzenie?

Nawet i najlepszy pasiecznik nie ma zysku z pasieki, jeśli go pszczoła nie znajdzie w pobliżu. Ustawić zatem pasiekę w miejscu, gdzie pożytku niema, i żądać, by dała miodu w bród, jest to samo, co żądać, aby krowa dała dużo mleka, pasąc się na gościńcu. Wybieraj przeto na pasiekę miejsce, gdzie spodziewać się można najlepszego pożytku. Największe pożytki znajdą się w pobliżu lasów, gdzie jest wiele leszczyny, lip, klonów, jaworów, dębiny, czernic, malin, dzikich drzew owocowych, dalej w okoli-

cach, gdzie zasiewają dużo tatarki, rzepaku, gorczycy, również gdzie po wsiach dużo sadów a i łąk obficie.

Przy wyborze miejsca musi pasiecznik zwrócić uwagę na to, aby pszczoła za pożytkiem nie latała daleko, lecz miała go tuż pod nosem. Wprawdzie pszczoły lecą za pożytkiem i ćwierć mili, a nawet i dalej, jeśli go nie mają w pobliżu pasieki, lecz z tego nie będzie żadnej korzyści, pszczoła bowiem nosząc miód z daleka, nie wróci tyle razy, co z blizka, więc może i połowę tyle miodu nie zniesie, ileby go zebrać potrafiła. Zresztą przy wylatywaniu na daleki pożytek wiele pszczół ginie, szczególnie na wiosnę, w dnie pochmurne i chłodne, a w lecie znowu, gdy je w polu zaskoczy nagła ulewa.

Nie zakładaj nigdy pasieki w pobliżu miast i miasteczek, bo pszczoła jest owadem dzikim, który lubuje sobie na ustroniu, zdała od gwarów miejskich i od nęcących ją miodosytni i fabryk rozmaitych słodyczy, gdzie giną tysiącami. Pod pasiekę wybieraj miejsca suche, niepodmokłe, gdyż z wiosną, kiedy pszczoły potrzebują najwięcej ciepła, miejsca takie są za chłodne, skutkiem parowania wilgoci. Nie ustawiaj twych pni w pobliżu innych pasiek, bo gdy pożytek zniknie, będziesz miał ciągły kłopot z napadami. Obca pszczoła węszy za rabunkiem najczęściej w tych pasiekach, ponad którymi przelatywała, idąc za pożytkiem.

Miejsce, gdzie pszczoły ustawisz, ma być zaciszne, zasłonięte krzakami od wschodu i północy, bo z tych stron wieją na wiosnę mroźne wiatry. Jeśli takiego miejsca nie masz, to staraj się je zrobić ciepłem przez otoczenie pasieki parkanem lub płotem, obstawionym trzciną lub wreszcie wałem. Starania te opłacą się sowicie, gdyż matki z wiosną czerwią tem prędzej i obficiej, im większe ciepło w ulach i w pasiece, pszczoły przyjdą wcześniej do wielkiej siły i wcześniej będą się roić. *Głos rolniczy.*

Kółka rolnicze wobec klęski powodzi.

Główny zarząd Kółek rolniczych odbył 27 sierpnia we Lwowie posiedzenie, na którem prezes Towarzystwa

i poseł p. Artur Cielecki zdawał sprawę z dotychczasowej akcyi na rzecz powodzian.

Wedle badań władz politycznych powódź nawiedziła 16 powiatów, 524 gmin i 183 obszarów dworskich. Ogółem ucierpiało przez powódź 115 tysięcy 850 osób, a szkoda wyrządzona powodzią wynosi 11 milionów 387 tysięcy i 20 koron.

W dalszym ciągu podniósł p. prezes Cielecki, że powiatowe zarządy Kółek rolniczych powinny utworzyć powiatowe komitety ratunkowe z odpowiednio dobranych osób miejscowych. Trzeba przedewszystkiem zwrócić się do rolników i z nich tworzyć komitety ratunkowe, a nie szukać wyłącznie datków pieniężnych, lecz przyjmować też dary w naturze, t. j. zboże, kartofle i t. p.

Mowca (p. Cielecki) zajął się sam zbieraniem takich składek w naturze w Husiatyńskiem, Buczackiem, a składki dawali także chętnie i włościanie.

Na wniosek Dra Kulczyckiego postanowiono utworzyć, oprócz powiatowych komitetów ratunkowych, także jeden główny, czyli centralny komitet, do którego wybrani zostali: prezes p. Cielecki, pp. Adamski, Dr Dulęba, Dr Gargas i Dr Kulczycki.

Dr Gargas poruszył też sprawę okólnika, wydanego przez krajową Dyrekcyę skarbu, rozesłanego właśnie teraz po powodzi. Dyrekcya skarbowa nakazuje w tym okólniku energicznie ściągać podatki, a tymczasem teraz po powodzi potrzeba mieć wzgląd na ludzi i ściąganie podatków powinno być najoględniejsze.

Następnie zaznaczył Dr Gargas, że trzeba ciągle występować przeciwko uciskowi podatkowemu. Wniosek ten poparty przez Dra Dulębę uchwalono, i postanowiono wysłać deputacyę do wiceprezydenta krajowej Dyrekcyi skarbu, p. Korytowskiego.

Nazajutrz odbyło się pierwsze posiedzenie centralnego komitetu ratunkowego pod przewodnictwem p. Cieleckiego.

Uchwalono na tem posiedzeniu, aby przy głównym Zarządzie Kółek rolniczych było stałe biuro, któreby się zajmowało sprawami powodzian. Na urządzenie tego biura złożył p. Cielecki z własnych funduszów 200 koron.

ZDZICZENIE.

Do gazet lwowskich donoszą o następujących dwóch wypadkach, świadczących dosadnie o coraz większem zdziczeniu pośród Rusinów.

We wsi Meducha, powiecie stanisławowskim, liczącej do 1000 dusz, przeważnie Polaków, umarł gospodarz Fedor Głąbicki. Choć Rusin on, był wiernym przyjacielem Polaków, miał nawet zamiar przejść na obrządek łaciński.

Na pogrzeb ś. p. Głąbickiego zgromadzili się licznie Polacy i nieśli trumnę jego na swych barkach. Kiedy kondukt przechodził koło cerkwi, zebrani tam tłumnie Rusini poczęli hałasować. A gdy kilku Polaków weszło na dzwonnicę i zaczęło dzwonić, Rusini napadli na nich i rozpoczęli bójkę. Ostatecznie Rusini musieli opuścić plac boju i pogrzeb odbył się dalej spokojnie.

O drugim wypadku piszą z Komarówki, wsi, leżącej koło Monasterzysk. Jest w tej wsi mała kapliczka, utrzymywana kosztem Polaków i Rusinów.

Ponieważ wieśniakom polskim, zamieszkałym w Komarówce, daleko do kościoła, przeto niekiedy dla potrzeb duchowych zjeżdża tu polski ksiądz z Monasterzysk, aby ludzi wyspowiadać.

Tak się stało i niedawno, ale Rusini, gdy przyjechał ksiądz, nie dopuścili do otwarcia kaplicy. Aby nie dopuścić do ekscesów, ksiądz polski usiadł na dworze przed kaplicą i zaczął spowiadać polskich parafian.

Wtedy Rusini dali znać swemu proboszczowi, który wnet nadjechał i wszczął kłótnię z księdzem polskim, twierdząc, że to kaplica ruska i nie pozwoli na używanie jej przez Polaków.

Kto wie, do czego byłoby przyszło, gdyby nie wdanie się dziedzica, który w energiczny sposób wytłumaczył ruskiemu parochowi, że takie samo prawo do kaplicy mają Polacy, jak i Rusini.

Polacy postanowili odtąd nie dać ani centa na kaplicę, tem bardziej, że wykończono już piękny kościół w pobliskim Korościatynie.

Nie te dwa, ale setki przykładów możnaby przytoczyć na wykazanie, jak to Rusini krzywdzą Polaków,

jak im dokuczają na każdym kroku, a mimo to Rusini krzyczą, że Polacy ich krzywdzą!

Wypadki powyższe świadczą także o zdziczeniu Rusinów, a zwłaszcza o zdziczeniu przywódzców ludu ruskiego. Ci przywódzcy (głównie księża ruscy) zamiast uszlachetniać swój lud i do dobrego go prowadzić, zaszczepiają ciągle w ten lud złość i nienawiść ku Polakom. Księża ruscy całkiem zapomnieli, że są sługami Chrystusowymi.

KŁAMSTWA HAJDAMAKÓW.

Najniegodziwszych środków chwytają się ruscy hajdamacy, aby tylko podszczuwać przeciw Polakom i przedstawić ich najlepsze chęci w najgorszem świetle.

Oto *Diło* pisze, że Polacy nie życzą sobie zwołania Sejmu i że naumyślnie Wydziały powiatowe nie sporządziły jeszcze sprawozdań o ostatnich klęskach powodzi i gradobicia, aby lud długo cierpiał nędzę i nie otrzymał pomocy od kraju i rządu.

Dalej pisze *Diło*, że Polacy ukrywają klęski, jakie dotknęły lud ruski, bo chcą całą zapomogę, którą ma rząd udzielić, dać panom polskim i mazurskim wieśniakom, a nie ruskim chłopom.

Tak bresze *Diło*. Mówimy bresze, bo tak p. namiestnik, jako i posłowie polscy usilnie się starali i starają u rządu, aby Sejm koniecznie był we wrześniu zwołany, na co wreszcie rząd się zgodził i Sejm ma być koło 20 września zwołany.

A gdyby nie zwołano we wrześniu Sejmu, to byłaby to wina nie Polaków, lecz wyłącznie rządu, który pod przewodnictwem ministra Koerbera nie dba o nasz kraj i więcej usiłuje nam szkodzić, niż pomódz.

Kłamstwem też jest, jakoby Wydziały powiatowe nie sporządziły sprawozdań o niedawnych klęskach powodzi i gradobicia, bo właśnie rząd wydzielił już 2 miliony 900 tysięcy koron jako pomoc dla dotkniętych powodzią i gradobiciem, na podstawie owych sprawozdań.

A stało się to także za usilnem staraniem p. namie-

stnika hr. Potockiego, który umyślnie w tej sprawie jeździł do Wiednia, żądając i zapomogi znacznej i rychłego zwołania Sejmu.

Że i lud ruski, chociaż ten przez gradobicie poniósł mniejsze daleko straty, niż lud mazurski przez powódź, otrzyma także pomoc z owego zasiłku, udzielonego przez rząd, to przecież o tem i wątpić nie można.

O tem naturalnie wie *Diło* — ale mimo to kłamie, bo to już taka natura hajdamaków. Wiadomo przecież, że hajdamaka znaczy tyle, co kłamca i rozbójnik.

Co się dzieje w Macedonii?

Powstanie macedońskie zamiast słabnąć, wzrasta z każdym dniem w siłę. W ostatnich dniach stoczyli powstańcy kilka krwawych potyczek z wojskiem tureckiem. Pod Gumendże używali powstańcy bomb dynamitowych, których wyrzucono bardzo wiele, a huk był tak wielki, że słychać go było na stacyi kolejowej, odległej o 15 kilometrów.

W okręgu Ochrida spalono wiele domostw tureckich, rabowano trzody i żywność. Równocześnie urządzają powstańcy ustawicznie zamachy bądź na linie kolejowe, bądź na pociągi z wojskiem.

Jeden z takich zamachów spełniono dnia 15 sierpnia o godzinie 10 w nocy na linii z Salonik do Skoplii. Wskutek wybuchu dynamitu pociąg wykoleił się, a oderwany kawałek wozu zabił dwóch żołnierzy. Tego samego dnia o godzinie 1 w nocy pociąg inspekcyjny, złożony z lokomotywy i dwóch wagonów z żołnierzami, napotkał dwie miny dynamitowe, które częściowo wybuchły, wskutek czego jeden żołnierz zginął a czterech odniosło ciężkie rany.

Z powodu tych zamachów musiano na razie zaprzestać dalszego wysyłania wojska koleją ze Skoplii.

Położenie w Macedonii staje się z każdym dniem groźniejsze. Na domiar złego Turcy prześladowani ciągle przez powstańców, grożą chwyceniem za broń.

Ruch rewolucyjny zaczyna się także powiększać wśród Serbów. Wielu Serbów przyłącza się do szeregów powstań-

czych. Ze Skoplii doniesiono pismom niemieckim, że pop nazwiskiem Mićkow z Vraniśnicy chodzi z procesyą od wsi do wsi i zachęca ludność do walki z Turkami.

Armia serbska czeka tylko na rozkaz, aby walczyć za oswobodzenie braci swych pod Turkiem. Gdy Serbowie chwycą za broń powstańczą, wówczas cały Bałkan spłynie krwią od krańca do krańca.

Na tureckiej stacyi Sibewdzie zniszczyła machina piekielna magazyn cłowy, a było to także dziełem powstańców. Dnia 9 sierpnia nadszedł tam kufer, z adresem do Skoplii. Z powodu spóźnienia pociągów nie wysłano go dalej, lecz złożono w magazynie. Po dwóch godzinach nastąpił wybuch, który zniszczył doszczętnie budynek.

Kufer pochodził z Filipopola w Bułgaryi, co jest jasnym dowodem, że Bułgarya jest przytuliskiem dla powstańców macedońskich i że z Bułgaryi nadchodzą broń i posiłki dla powstańców.

Wre tedy i kipi na dobre w Macedonii, powstanie przybiera coraz większe rozmiary, skutkiem zaś tego będzie obficie rozlana krew i wyniszczenie. Łatwo też z tego może przyjść do okropnej i ogólnej wojny europejskiej.

Co słychać w kraju i za granicą.

Polski wiec ludowy.

W Białym Kamieniu, w powiecie złoczowskim, odbył się dnia 15 sierpnia, t. j. w samo święto Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, parafialny wiec ludowy. Wiec ten urządziło „Polskie Towarzystwo narodowe“, którego chlubnem zadaniem jest obrona polskich interesów we wschodniej Galicyi.

Na wiec przybyło kilkadziesiąt osób ze Złoczowa i Oleska i przeszło sześciuset włościan polskich, zamieszkałych w parafii białokamienieckiej.

Do włościan przemówił ks. Włodarczyk, zachęcając ich, żeby wszędzie i zawsze czuli się Polakami, kochali swą ziemię i język i żyli w zgodzie a miłości.

Następnie przemawiał nauczyciel p. Stępień ze Złoczowa i w swej mowie wykazał niegodziwość ohydnej potwarzy, którą rzucili zwyrodnieni radykali ruscy podczas swego wiecu w maju b. r. w Złoczowie na króla naszego Jana III-go Sobieskiego, jakoby ten pobożny król kazał dwustu ruskim chłopom z Woroniak ściąć głowy na zamku złoczowskim.

Włościanin St. Kwiecień opowiadał o wycieczce polskich włościan do Krakowa i zaklinał swych współbraci, aby nigdy nie zaparli się swojej polskiej narodowości.

Zgromadzeni włościanie powzięli cały szereg uchwał, a to: aby przestrzegali mowy polskiej w rodzinach włościańskich, aby pilnie uczęszczali do polskich czytelń, aby zakładali kaplice i kółka rolnicze po wsiach parafii białokamienieckiej.

Na zakończenie zachęcał ks. kanonik Piątkowski z Oleska, aby powyższe uchwały włościanie starali się wykonać.

Klęska „ludowców".

Z powiatu brzozowskiego piszą do *Przedświtu*, że przy niedawnych wyborach do Rady powiatowej z grupy gmin wiejskich nie wybrano tam ani jednego ludowca, mimo szalonej agitacyi ze strony posła Stapińskiego i jego zwolenników.

Widocznie upadły już w powiecie brzozowskim wpływy Stapińskiego.

Przyszli do rozumu.

Ze wschodniej Galicyi piszą do *Nowej Reformy*, że w tym roku całkiem nie udała się agitacya ruskim agitatorom tak ukraińcom, jako i socyalistom.

Jedni i drudzy agitowali żarliwie przed żniwami i namawiali chłopów ruskich do strejków, zmyślali nawet strejki, aby łatwiej wieśniaków obałamucić, lecz wszystko na próżno, bo żniwa odbyły się w ogólności całkiem spokojnie i tylko w dwóch czy w trzech miejscowościach wybuchły strejki, i to jeszcze przed żniwami i nie z powodu żniw.

Trzeba stwierdzić — pisze dalej *Nowa Reforma* — że włościanin ruski po zeszłorocznych doświadczeniach przejrzał i nie słucha już podszeptów agitatorów.

Rusini między sobą.

W Stanisławowie zwołali ruscy socyaliści zgromadzenie ludowe dla założenia w tem mieście stowarzyszenia pod nazwą „Chłopska Rada“.

Na zgromadzeniu przemawiało kilku ruskich przywódzców socyalistycznych i byliby założyli owo stowarzyszenie, ale nagle wpadło kilku przywódzców ukraińców z licznem gronem włościan i wystąpiło przeciw zawiązaniu „Chłopskiej Rady“.

Przeciw ukraińcom zerwała się burza, a skończyło się na tem, iż zaczęto wzajemnie się bić. Wskutek tego komisarz rządowy rozwiązał zgromadzenie, lecz bójka trwała jeszcze długo, zanim opróżniono salę.

Przyjazd Cesarza Franciszka Józefa I. do Lwowa.

W niedzielę dnia 13 września — jak donosi *Gazeta Lwowska* — o godzinie 9 rano przybędzie do Lwowa Najjaśniejszy Pan osobnym pociągiem dworskim.

Z dworca kolejowego uda się Cesarz do polskiego kościoła katedralnego na Mszę św., a po Mszy św. odjedzie do gmachu Namiestnictwa, gdzie przyjmować będzie deputacye.

Po ukończeniu posłuchań odjedzie Najjaśniejszy Pan do Komarna na manewry wojskowe.

Wystawa i wiec powiatowy.

W Gorlicach otwarto w połowie sierpnia staraniem Towarzystwa „O własnych siłach“ wystawę przemysłu krajowego. Widzieć tam było można roboty rymarskie, kamieniarskie, powroźnicze, bednarskie i ślusarskie, sporządzane w powiecie gorlickim.

Nadto przysłano różne wyroby i z innych także powiatów oraz z różnych fabryk i warsztatów miejskich. Wystawę zwiedziło przeszło 2000 osób.

Na zakończenie wystawy odbył się dnia 23 sierpnia wiec powiatowy, na którym omawiano głównie sprawy przemysłowe i rolnicze.

Austrya i Węgry.

Położenie na Węgrzech jest ciągle groźne, bo Węgrzy, którzy dążą do oderwania się od Austryi, żądają ciągle, aby mieli całkiem osobne wojsko, a na to Cesarz, jako król węgierski, w żaden sposób zgodzić się nie chce.

Umyślnie pojechał Cesarz na kilka dni do Budapesztu, aby odbyć narady z przywódzcami różnych stronnictw, ale narady te nie doprowadziły do żadnego porozumienia. Gazety piszą, iż Sejm węgierski będzie rozwiązany, a że nie uchwalono jeszcze poboru rekruta, więc ci, którzy kończą teraz 3-letnią służbę, pozostaną w służbie do końca roku, potem zaś powołani będą rezerwiści.

— W połowie września ma przybyć do Wiednia król angielski Edward VII. w odwiedziny do Cesarza austryjackiego.

Niemcy.

Prześladowanie Polaków. Rząd pruski myśli o nowych środkach gnębienia Polaków i zamierza wystąpić z odpowiednimi projektami ustaw przed Sejmem pruskim.

— Na 4-miesięczne więzienie skazany został redaktor *Górnoślązaka,* p. Wicik za obrazę policyi pruskiej, znanej z brutalności i zdziczenia.

— Policya pruska na Ślązku zakazała sprzedaży kart korespondencyjnych z portretami sławnych polskich kobiet i kart z widokami Wawelu.

Rosya.

Rozruchy i strejki w Kijowie już ustały. Obecnie panuje już tam spokój, ale skutki tych rozruchów są straszne, bo zabito około 100 osób, paręset poraniono, a 3000 uwięziono.

— W tych dniach wybuchł strejk w innem znowu mieście, mianowicie w Jekaterynosławiu. Strejkujący zmusili gwałtem innych robotników do zaprzestania roboty. Przywołane wojsko rozprószyło tłum, przyczem zabito 11 robotników, a 12 raniono.

Bunt we wojsku. Gdy podczas rozruchów w Kijowie komendant Kijowa kazał żołnierzom dać ognia do opornych tłumów, wystąpił jeden oficer przed front swej kompanii i zawołał: „Łotrem jest ten, kto strzelać będzie do głodnych swych braci“! Oficera tego zaraz aresztowano i zapewne już go rozstrzelano!

KRONIKA KOŚCIELNA.

Z Rzymu. *Hojna ofiara.* Ojciec święty Pius X. ofiarował 100 tysięcy lirów na ubogich miasta Rzymu.

— *O zdrowiu Ojca świętego* otrzymała z Rzymu jedna z krakowskich gazet, mianowicie *Nowa Reforma*, dość niepokojącą wiadomość. Oto donoszą jej, że Ojciec św. będąc Patryarchą w Wenecyi, przyzwyczajony był spędzać codziennie kilka godzin na łódce, zażywając świeżego powietrza. Teraz zaś jako Papież wskutek tylu przyjęć, posłuchań i uroczystości czuje się zmęczonym i często ma omdlewać. Kardynałowie obawiają się, aby to nie była choroba sercowa, lekarze jednak zapewniają, że Ojciec św., gdy się przyzwyczai do zajęć papieskich, będzie zdrów.

— *Jak spędza dzień Ojciec święty?* Pius X. udaje się na spoczynek o godzinie 10-ej wieczorem po bardzo skromnej wieczerzy, która się składa z filiżanki bulionu, czyli mocnego rosołu, z jednego gotowanego jajka, trochę jarzyn i kieliszka wina bordo.

Wstaje nazajutrz o godzinie 6-tej rano i w otoczeniu gwardyi szwajcarskiej udaje się do kaplicy sykstyńskiej. Tam przy jednym z ołtarzy odprawia Mszę świętą w asystencyi sekretarza prałata Bressan w obecności kilku osób, należących do dworu papieskiego.

Po Mszy świętej wraca Ojciec święty do swoich pokojów na śniadanie, które stanowi filiżanka kawy i bułka z masłem. Następnie rozpoczynają się posłuchania.

Obiad, podawany w południe, składa się z zupy, mięsa, jarzyny, owoców i kawy. Po krótkim poobiednim odpoczynku, Ojciec św. modli się i znów rozpoczyna przyjęcia.

Przed wieczorem odbywa Ojciec święty krótki spacer po ogrodach watykańskich. Kilka razy przez dzień przyjmuje Papież zastępcę sekretarza stanu (bo nowy sekretarz stanu jeszcze nie mianowany) i odbiera od niego różne urzędowe raporta.

Niklowy zegarek. W kilka dni po wyborze przyjmował Ojciec święty Pius X. rzeźbiarza Rosę, który ma rzeźbić wizerunek Ojca świętego.

Podczas rozmowy wydobył Ojciec święty skromny niklowy zegarek na czarnym sznureczku, a gdy rzeźbiarz

zapytał, czy zegarek ten dobrze chodzi, Papież zrozumiał to zapytanie i odrzekł z uśmiechem: „zegarek niklowy jest także zegarkiem, a na nabycie droższego nie pozwalali mi moi ubodzy w Wenecyi". Pisaliśmy zaś już, że Ojciec święty, jako Patryarcha Wenecyi, wszystko rozdawał ubogim i na ich wspieranie nieraz pierścień biskupi zastawiał.

NOWINY i ROZMAITOŚCI.

Zmiana adresu. Z dniem 1-go września zmieniliśmy mieszkanie i przenieśliśmy redakcyę z ulicy Czystej na ul. Zieloną L. 20.

Prosimy więc odtąd wszelkie listy i przekazy przesyłać nie na ulicę Czystą, lecz na **ulicę Zieloną L. 20.**

Zamiast „Skarbnicy" — powiększenie pisma. W tym miesiącu, czyli we wrześniu, mieliśmy dać drugi zeszyt *Skarbnicy ludowej*, ale go nie dajemy, gdyż powiększyliśmy znacznie już od poprzedniego numeru objętość pisma.

Dajemy obecnie co dwa tygodnie numer gazetki, mający dwa arkusze (16 kartek) druku, wskutek tego *Skarbnicy* dalej dawać nie możemy i nie będziemy.

W sprawie „Kalendarza". Na pewno jeszcze nie twierdzimy, ale prawdopodobnem jest, że jak na ten rok daliśmy naszym Szan. Czytelnikom *Kalendarz* „Święta Rodzina" za darmo, tak damy także taki *Kalendarz* (również za darmo) i na rok przyszły 1904.

Starajcie się tylko o coraz więcej nowych prenumeratorów dla *Nowego Dzwonka*, a wtedy z pewnością otrzymacie *Kalendarz* na rok przyszły **za darmo!**

Nowi Czytelnicy, którzy zechcą zaprenumerować sobie **teraz** *Nowy Dzwonek*, mogą otrzymać jeszcze wszystkie zeszyty tegoż pisma od początku II. półrocza, czyli od lipca.

Hodowla królików. Przed dwoma laty założona została w Bełzie przez ks. proboszcza Marcelego Chmurę hodowla rasowych królików, która świetnie się rozwija. W dwóch latach sprzedano i rozdano do 600 sztuk. Kupują przeważnie rolnicy we wschodniej Galicyi. Wartałoby, aby dwory i pp. nauczyciele po wsiach tą zyskowną hodowlą zająć się chcieli.

Nabyć można francuskie srebrne angory w każdym czasie, młode 2—3-miesięczne z opakowaniem za 4—5 koron. Cenniki posyła się darmo.

Adres: Hodowla królików rasowych w Bełzie.

Testament pijaka. Obecnie dopiero doszło do szerszej wiadomości, że ścięty w roku zeszłym w Budziszynie (w królestwie saskiem) morderca Hoche dzień przed śmiercią swoją napisał testament, z którego podajemy następujące ustępy:

„Gdy zapytuję się sam siebie, co mnie zrobiło mordercą, wówczas znajduję tylko jedną odpowiedź: wódka! Powoli lecz rychło się to zaczęło. Pierwszy przykład dał mi własny ojciec, który był pijakiem i w pijanym stanie zmarzł w śniegu. Wy ojcowie, którzy jesteście pijakami, pomnijcie na to, że przez wasz nałóg zatruwacie krew, a przez zły przykład życie waszych dzieci. Gdy ukończyłem szkołę, zostałem murarzem, i jak wszyscy murarze, piłem wódkę. Początkowo byłem jeszcze wprawdzie pilnym i dobrym robotnikiem i zarabiałem ładne pieniądze. Lecz im więcej zarabiałem, tem więcej piłem, a im więcej piłem, tem więcej straciłem ochotę do pracy. Powoli, lecz stale leciałem w przepaść. Poznałem się z cuchtchauzem i domem poprawy. Lecz skoro mnie wypuszczono, zaczynałem pić na nowo. W końcu przestałem zupełnie pracować, a żona musiała mnie utrzymywać i jeszcze dawać pieniądze na wódkę, a gdy mi ich dać nie chciała, wówczas biłem ją. Moje dzieci przynosiły mi tę piekielną oparę rano, zanim jeszcze szły do szkoły, a potem w południe i nieraz wieczorem jeszcze; wódka była moją pierwszą i ostatnią myślą. Nie będę wspominał o wszystkich zbrodniach i występkach moich; wódka odebrała mi wszelką siłę woli, zrobiła mię bezmyślnem zwierzęciem. Szeregi mych zbrodni zakończyło zamordowanie mej żony.

Jutro nastąpi zasłużona kara, śmierć z ręki kata. Umieram w skrusze i żalu i w nadziei, że Bóg będzie miłosiernym. Lecz zanim umrę, muszę się jeszcze odezwać głosem upomnienia dla całego świata. To jest mój testament, który głównie kieruje się do moich dawnych przyjaciół i towarzyszy pijaństwa i występku: Nawróćcie z tej drogi! Mój przykład wskazuje, dokąd ona prowadzi. Rzućcie flaszkę z wódką o ścianę, póki jeszcze czas, i póki i was nie zaprowadzi djabeł wyglądający z wódki tam, dokąd i mnie zaprowadził“.

CENY ZBOŻA

w Koronach za 50 kilogr.

W Krakowie. (25 sierpnia). Pszenica biała od 8 kor. 40 hal. do 8 kor. 90 hal. — pszenica czerwona od — kor. — hal. do — kor. — hal. — żyto dworskie od 6 kor. 30 hal. do 6 kor. 95 hal. — żyto targowe od — kor. — hal. do — kor. — hal. — jęczmień browarny od — kor — hal. do — kor. — hal. — jęczmień na krupy od 5 kor. 50 hal. do 6 kor. — hal. — owies od 5 kor. 80 hal. do 6 kor. — hal. — rzepak zimowy od 9 kor. 50 hal. do 10 kor. 25 hal.

We Lwowie. (24 sierpnia). Pszenica gotowa od 7 kor. 80 hal. do 8 kor. 10 hal. — żyto gotowe od 6 kor. — hal. do 6 kor. 10 hal. — jęczmień browarny od 5 kor. 50 hal. do 6 kor. — hal. — konicz czerwony od 48 kor. — hal. do 55 kor. — owies od 5 kor. 80 hal. do 6 kor. — hal. — kukurudza nowa od 4 kor. 75 hal. do 5 kor. 25 hal. — rzepak od 9 kor. — hal. do 9 kor. 25 hal.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.